Molier w stylu hippies

„Świętoszek" to jedna z niewielu komedii Moliera zawierających do dziś jeszcze groźny ładunek społeczny i, mimo że jej zuchwałość wydaje się dziś nieco przestarzała — posiadających olbrzymie złoża problematyki moralno-filozoficznej. Długie perypetie z jej wystawieniem, interwencje dewotów i oburzonych członków Towarzystwa Świętego Sakramentu spowodowały, że sztuka została przez autora niejako okaleczona i zmodyfikowana. (Molier dopisał m. in. później optymistyczne zakończenie). Do dziś pozostały w niej jednak wątki ponadczasowe i aktualne — atak na hipokryzję, utożsamianie wiary z obłudą i udaną religijność, otwierającą wszystkie drogi do kariery. Wszystkie epoki znały dziesiątki podobnych Tartuffowi obłudników, a wówczas, kiedy Molier uczynił go bohaterem komedii było ich we Francji tysiące. Molierowski Świętoszek to tylko jeden z wielu popularnych kierowników duchowych — i to wcale nie najgorszy. Nie ulega kwestii, że jest to jednostka naprawdę wybitna, o nieprzeciętnych talentach, a przy tym człowiek, który toczy walkę z samym sobą — pragnie wierzyć, aby jeszcze umocnić swoją pozycję, ale — że nie jest szczery z samym sobą — nie potrafi być szczery z rodziną Orgona. Wyszedłszy z fałszywej pozycji musi dalej kłamać i oszukiwać innych. Pomimo, że Tartuffe pojawia się na scenie stosunkowo późno, rządzi akcją i postępowaniem pozostałych osób od początku do końca. Oglądamy go zanim się pokaże w rozmaitym świetle, dowiadujemy się o jego przeszłości i obecnym życiu w domu Orgona. Kiedy pojawia się na scenie wiemy już o nim prawie wszystko. Wiemy, że od niego zależeć będą dalsze wypadki sceniczne, aż do końcowej, kompromisowej interwencji króla.

Tak przywykliśmy dotychczas oceniać „Świętoszka", Sztuka ta, wchodząca do kanonu lektur, jest być może dla wielu pozycją równie dostojną co nudna — jest jednak komedią (do której po sztubackim okresie niechęci wraca się z ogromnym zdumieniem) zaskakująco nie dostrzeganym dotychczas wspaniałym dowcipem, humorem, wartką i... mądrą akcją. Krystyna Meissner — reżyserka bydgoskiego przedstawienia nie wierzyła jednak w umiejętności genialnego komediopisarza. Bojąc się, że popełni częsta w naszych teatrach zbrodnię — zanudzi widzów Molierem — postanowiła go nieco odkurzyć i przystosować do „dzisiejszych czasów". W efekcie otrzymaliśmy zgrabną i... zwykłą farsę z niedobrze grającymi aktorami poprzebieranymi za hippiesów. Zaraz na początku gipsowej figurze Moliera zawiązano oczy, rozumiejąc zapewne, że wielki Francuz „przewróciłby się w grobie" na widok takich pentuarowo-hippiesowych ekstrawagancji. Może i to dobrze — bo o ile Molier zniósłby prawdopodobnie (był odważniejszy niż sądziła reżyserka bydgoskiego przedstawienia) owo przeniesienie do innej (jakiej?) epoki, o tyle byłoby mu przykro, gdyby zobaczył jedną ze swych najlepszych, najmądrzejszych, najbardziej ideologicznie dojrzałych komedii zamienioną w farsę. Nieuczciwa to operacja — nie widzę powodów, dla których należałoby szkalować jednego z najlepszych pisarzy wszechczasów odbierając jego sztuce mądrość i znamiona arcydzieła, a zostawiając tylko i wyłącznie dowcip. Oczywiście zdaje sobie sprawę, że bez śmiechu nie ma Moliera i nie ma jego mądrości, ale wystawiać wielką sztukę po to tylko, żeby widzowie mieli się z czego pośmiać — to już przesada. Jest tyle zgrabnie napisanych fars, których z niczego nie trzeba obdzierać. Być może, że Krystyna Meissner sądziła, że młodzież szkolna po obejrzeniu bydgoskiego „Świętoszka" stwierdzi, że „Molier był komik" i... przeczyta obrzydzoną przerabianiem sztukę. Znam wszakżę inne formy namawiania do lektury — a zabawa na genialnym tekście pisarza, który nie może już tym wiwisekcjom przeszkodzić jest raczej w złym guście. Oczywiście wszystkie kłujące do dziś dnia prawdy „Świętoszka" troskliwie ukryto.

Na domiar złego aktorzy grali fatalnie. Przede wszystkim na scenie brakowało prawdziwego świętoszka — a jak wiadomo bez istnienia tej postaci sztuka przestaje być zrozumiała. W interpretacji Zdzisława Winiarczyka Tartuffe przeistoczył się w przedziwny sposób w zimnego, opryskliwego cwaniaczka i szubrawca z przedmieść, który robi miny do Orgona i pokrzykuje na Elmirę, w wulgarnego prostaczka, który nikogo nie potrafiłby oszukać. Nie było w nim ani śladu koniecznego w tej roli pokostu obłudy, jakiejś zakrystiańsko-jezuickiej, lisiej przebiegłości, nie było nawet gwałtownego wybuchu namiętności i subtelności w scenach z Elmirą.

Oczywiście przy takim potraktowaniu roli Tartuffa Orgon musiał być absolutnym durniem i safandułą, a nie mądrym (jak wskazuje tekst) człowiekiem, który chwilowo popadł w obłęd religijny (takich Orgonów było przecież w epoce Moliera mnóstwo). Stefan Czyżewski grał więc — bardzo zresztą zabawnie — durnia i kandydata na rogacza, gubiąc oczywiście po drodze wszystkie inne cechy tej, bądź co bądź skomplikowanej postaci. Sądzę zresztą, że w takiej koncepcji reżyserskiej dla innego Orgona nie byłoby (a szkoda) miejsca. Nic to jednak w porównaniu ze scenami, w których występuje trójka „młodych" — Damis (Mieczysław Pietrusiński), Marianna (Zofia Dobrzańska) i Walery (Tadeusz Bartkowiak). Nic bardziej nieporadnego nie widziałam dotychczas w bydgoskim teatrze. Szczególnie żenujący był T. Bartkowiak uznający tylko dwie pozy i niemiłosiernie (podobnie jak M. Pietrusiński) kaleczący wiersz. Marianna i Damis przyodziani w stylu hippies przypominali rozpieszczone dzieci badylarza, które nigdy nie słyszały o Molierze i nie najlepiej znają język polski.

Ewa Studencka-Kłosowicz nie potrafiła przezwyciężyć ryzykownego kostiumu i mimo woli dostroiła się do ogólnego „bardzo wesołego" tonu. Nijaki był rezoner Kleant w wykonaniu Jerzego Stasiuka. Jedynie Barbara Drogorób, grająca zresztą raczej postać z farsy przedmolierowskiej, stworzyła pełną, choć także dyskusyjną kreację.

Dekoracje Jerzego Ławacza były funkcjonalne w finale i w scenie kłótni Orgona z Doryną, natomiast brzydkie i niekonsekwentne kostiumy odebrały aktorom wdzięk, ale nie przydały komizmu.

W sumie otrzymaliśmy jeszcze jedną „eksperymentalną" interpretację Moliera. Nie wniosła ona nic nowego do wiedzy o „Świętoszku" i jego autorze. Przeciwnie — udziecinniono, okaleczono i ogłupiono nam Moliera i za to mam do teatru bydgoskiego wielki żal.

JADWIGA OLERADZKA

Teatr Kameralny w Bydgoszczy. Świętoszek Moliera. Reżyseria Krystyna Meissner, scen. Jerzy Ławacz, opracowanie muzyczne — Grzegorz Kardaś. Premiera — wrzesień 1968 rok.